NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Redaktor naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI

Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: **4,000.000** Mkp. — **Zagranicą** podwójnie. — **W Ameryce** rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy **15 groszy** — cała kolumna **Złp. 100·—** pół kolumny **Złp. 50·—** 1/4 kolumny **Złp. 26·—** 1/8 kolumny **Złp. 14·—** 1/16 kolumny **Złp. 9·—**. W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy **40 groszy** · cała kolumna **Złp. 160·—** 1/2 kolumny **Złp. 80·—** 1/4 kolumny **Złp. 40·—** 1/8 kolumny **Złp. 20·—** 1/16 kolumny **Złp. 12·—**. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie **15 gr.** za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

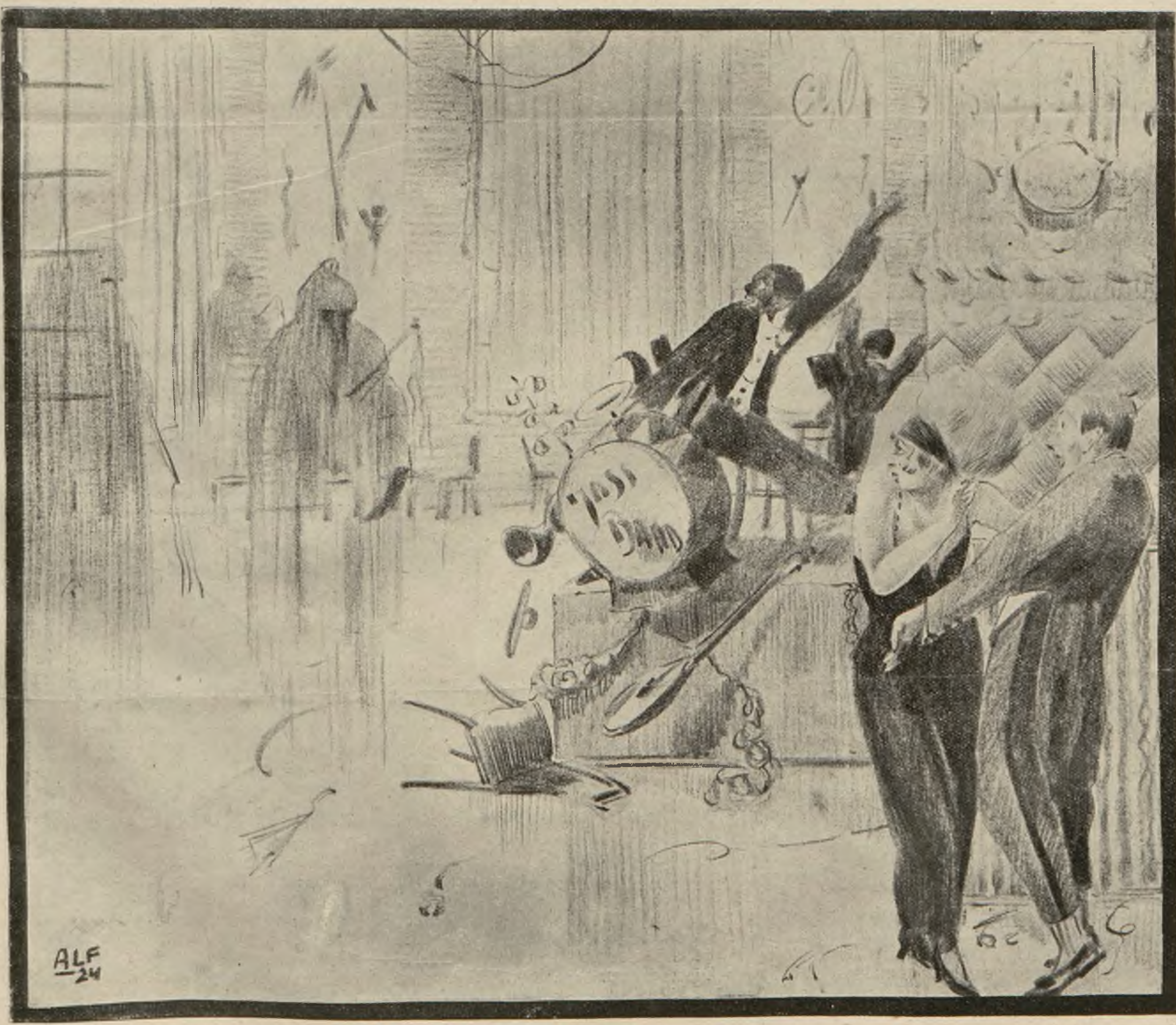
Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.**

Rok XXI. Kraków, 8 marca 1924. Nr. 10.

Popielec!



Koniec zapustów! Zamarły ostatnie tony taneczne, rozproszyły się tańczące pary. Wielki post rozpoczął panowanie.

Prof. dr. JERZY MYCIELSKI

Zabytki tkactwa i haftarstwa zagranicznego w Krakowie

II. Nieznane makaty francuskie z epoki Ludwika XIV.

Po utworach monumentalnego tkactwa czterech z rzędu stuleci znajdujących się w Krakowie, stoimy ze względu na okres gobelinnictwa w epoce Ludwika XIV we Francji przed przecudną serją makat, tym razem nie tkanych, ale haftowanych delikatnym krzyżykowym ściegiem na płóciennych oponach. Rozwieszone są one w klatce schodowej dookoła krętych schodów na zewnętrznej ich prawej ścianie w pałacyku już poprzednio wymienionym hr. Ksawerego Pusłowskiego przy ul. Andrzeja Potockiego, a umieszczone tam już zostały przez ojca jego przed laty przeszło czterdziestu, gdy tenże przebudowywał nabyty przez siebie dawny dwór Cieleckich w ogrodzie i następnie napełniał go od góry do dołu wytwornemi dziełami sztuki rzeźbiarskiej, malarskiej, witrażowej oraz gobelinowej. Jest ich tam ośm sztuk, a niestety brakuje trzech do serji jedenastu, które dopiero tematowo całość stanowiły. Właściciel icn wiedział dobrze i mówił o swych makatach zawsze nie jako o gobelinach, ale jako o haftach, ale dotąd naukowo zdeterminowane one ani opisane nie zostały, a wiadomość jedyna znana o nich za granicą, oparta naturalnie na niekrytycznych informacjach, podawała je jako gobeliny, czego dowodem wzmianka o naszych makatach, jeszcze w roku zeszłym umieszczona w wielkiej niemieckiej publikacji *H. Göbela*: „Wandteppiche“ (Lipsk 1923).



Makaty francuskie z epoki Ludwika XIV: Haft z herbem marszałka de Créqui.

Dopiero pod koniec minionego roku młody uczony krakowski, dr. Adam Bochnak zbadał dokładnie powyższe hafty, określił ich technikę, stwierdził artystyczne pochodzenie oraz skonstatował, kto je do pałacu swego zamawiał i czyją były własnością, a to w rozprawie pod tytułem: „Makaty marszałka Francji Franciszka de Créqui księcia de Lesdiguières“, pięknie wydanej nakładem Miejskiego Muzeum Przemysłowego (Kraków — 1923 — str. 16). Ozdobiona ośmioma reprodukcjami wszystkich ośmiu makat, oraz dwiema tablicami pomocniczemi w celu porównania gobelinów, rozprawa ta jest doskonale przemyślana i wybornie skonstruowana, ze względu zaś na całą naukową metodę przeprowadzonego badania znać w niej fachowego ucznia równie znakomitego i wprost u nas jedynego w tej mierze badacza i znawcy przedmiotu, jak prof. Juljan Pagaczewski. Słusznie też zadowolony on być może z jasnych rezultatów pracy swego duchowego wychowanka, która całkiem nowe rzuciła światło na ten piękny zabytek krakowski i określiła go i oceniła, jak sądzę, stanowczo i nieodwołalnie.

Autor dowiódł naprzód, że hafty pochodzą z Francji z ostatniej ćwierci wieku XVII i że powstały niezawodnie pod kierunkiem najświetniejszego jeżeli nie najgłębszego wersalskiego malarza i dekoratora epoki „Króla Słońca“. Był nim naturalnie Karol Le Brun, a dowody na autorstwo całkiem pewne wzorów do krakowskich haftów, których dostarczył Le Brun, oparł p. Bochnak na studjum ich porównawczem, wiążąc je ze słynnemi serjami tkanin Le Brun'a: serji „Pór Roku“ i serji „Czterech Żywiołów (Elementów)“. Po tej pracy porównawczej, równie makaty figuralne jak czysto dekoracyjne, odnieść należy wyłącznie tylko do pracowni Le Brun'a, wślad za czem stwierdzić można, że Kraków w serji tych haftów posiada dziś niepośledniej piękności dzieło tego w swoim czasie najsłynniejszego artysty-dekoratora.

Z kolei dowiódł autor, dla kogo zostały one wykonane. Właścicielem ich i tym, który hafty zamówił, był jeden z najświetniejszych wodzów armji francuskiej za czasów Ludwika XIV, Franciszek de Créqui książę de Lesdiguières (1624—1687), głośny w wojnach w Hiszpanji i we Flandrji, a w r. 1684 zdobywca Luksemburga. W r. 1668 został on marszałkiem Francji, wślad za czem na makatach krakowskich widnieją wszędzie nieledwie, obok herbu margrabiów de Créqui, laski marszałkowskie, któremi z całej tej rodziny on jeden mógł podówczas się szczycić, a wskutek czego data powstania haftów przypaść musi na lata 1668—1687, ze względów zaś stylistycznych autor przesuwa je nieledwie w zupełności na ostatnie lata życia marszałka. Cała serja makat składała się niezawodnie z liczby jedenastu, a forma ich wszystkich bez wyjątku jest romboidalna (en losange), wykonane więc były niezawodnie do półkolistej klatki schodowej i w ślad za tem tę formę wszystkie opony mieć musiały. Rozmiary ich są wcale znaczne; na wysokość wahają się mianowicie między 3 m 50 cm, a 2 m 90 cm, na szerokość zaś między 2 m 25 cm a 1 m 85 cm.

Sam środek serji stanowił niezawodnie najszerszy z haftów z herbem w środku, który on gloryfikuje, przedstawiającym na białej tarczy drzewko czerwone z korzonkami i z 7 wyrastającemi z pnia gałązkami, na których widnieją listeczki podobne do lipowych. W górze nad koroną margrabiowską usiadły dwa białe łabędzie, zbliżające się ku sobie dzióbami. Wszystko razem ujęte jest we wspaniały barokowy kartusz, a ozdobione gałęźmi z palm oraz niezrównanemi swą barwą i lekkością wieńcami z kwiatów, z róż, tulipanów, anemon, hortensyj, kosaćców (irysów), słoneczników. Nadto towarzyszą herbowi pancerze i hełmy z piórami, oraz w czterech rogach ujęte w wieńce z wawrzynu związane dwie litery C. Wogóle główną piękność i niezrównaną artystyczną wartość tej makaty, jak i wszystkich następnych, stanowi przecudna w nich profuzja kwiatów z prawdziwie flamandzkim naturalizmem wykonanych a z lekka tylko stylizowanych, idących w prostej linji od niedoścignionych kwiatów Jana Brueghela de Velours i współczesnej naszym haftom hollenderskiej artystki Racheli Ruysch.

Środkową makatę z herbem ujmowały dwie sąsiadujące z nią opony, przedewszystkiem o tematach wojennych. W samym środku misternie ułożone panopljony z pancerzy, hełmów, tarcz, buław, mieczów, kołczanów ze strzałami a jeden z nich podtrzymuje rozkoszny barokowy amorek. Oba panopljony otoczone są naprzód niezrównanemi znowuż wieńcami z kwiatów, które zdaje się, że pachną, wszystko zaś ujęte we wspaniale rozmieszczone barokowe łodygi i pióra.

Główną część haftów stanowiły cztery makaty „Pór Roku“ i cztery „Elementów“. Z pierwszych zachowała się tylko jedna, przedstawiająca Jesień. W górze widnieją dwie skrzyżowane laski marszałkowskie, w samym środku zaś siedząca postać Bakchusa z kielichem w ręku i lamparcią skórą oraz z thyrsem, powtórzona nieledwie dosłownie z wielkiej serji „Pór Roku“ Karola Le Brun.



Haft z allegorją Jesieni: Bakchus.

Otacza ją dokoła owalny wieniec z kwiatów, a po za nim wiją się w fesronach kwiaty jeszcze liczniejsze, tę przecudną makatę pokrywające jak żeby deszczem z kwiecia.

Serja „Czterech Żywiołów" zachowała się w krakowskich makatach w całości. Ogień reprezentuje Jowisz, siedzący na chmurach z berłem w ręku i z orłem u boku, otoczony wieńcem głównie z owoców, a w dole w wielkiej czarze widne buchające płomienie. Powietrze przedstawia Junona, pod którą w dole widać organy, a w dolnych rogach cudne swą kolorystyką i prawdą dwa pawie o zwisających ze swemi szafirowemi oczami ogonach. Ziemią z koleji jest Cybela, siedząca na wprost, ze znaną koroną z wieżyczek na głowie, otoczona wieńcem z liści, kłosów i owoców, a z globusem w dole. Najpiękniejszą przecież niezawodnie z tej serji jest makata z allegorją Wody. W środku sunie po wzburzonych falach na muszli, ciągnionej przez hippokampy, nagi Neptun z trójzębem, blizki znowuż ziezmiernie elementowi Wody Karola Le Brun w jego wielkiej serji gobelinów. Neptun z haftu naszego ujęty jest w wieniec z wodnych liści i kwiatów, konch i muszli wszelkiego kształtu, korali i traw. W dole zaś pod nim umieszczona fontanna, z której spływa obficie delikatnemi sznureczkami srebrzysta źródlana woda i zdaje się, że chlupoce u stóp tej niezrównanej makaty.



Haft z panoplją i herbami.



Haft z allegorją Wody: Neptun.

Oto rezultat bogaty, który przyniosła rozprawa dr. Bochnaka a w ślad za nią Kraków szczycić się może, że i świetna wersalska epoka haftarstwa francuskiego reprezentowana jest w jego artystycznych zbiorach i że przedstawia w nich delikatne wytworne dzieła sztuki, którym podobne niezawodnie podziwiał współcześnie Jan III a do jakich z pewnością zazdrośnie wzdychała królowa Marysieńka.



Koniec zapustów stołecznych: Ostatni wielki bal w Warszawie: bal prasy. Pierwsze pary poloneza, którym bal otwarto: Red Zdzisław Dębicki z p. prez. Grabską, premier Grabski z p. Dębicką, Marsz. Trąmpczyński z p. marsz. Ratajową, i marsz. Rataj z p. Dąbską





Proces Hittlera i Ludendorffa: 1) wszystkie osoby, wchodzące do gmachu sądu, który otoczono zasiekami z drutu kolczastego, zostają poddane ścisłej kontroli 2) przewodniczący sądu radca Neidhardt (x) udaje się na rozprawę (*do art. na str. 9-ej*).

Zakończenie zapustów stołecznych.

Śpiewaj mi dzisiaj Muzo, zakończony karnawał warszawski, albowiem sam nie zdołam dobrać wyrazów dla oddania zapustnego szału syreniej stolicy, niewysłowionego uroku cudnych nóżek Warszawianek, pląsających w takt Javy, i poezji szatek, osłaniających... nie: odsłaniających wdzięki swych właścicielek. A jeżeli już nie chcesz być piewczynią wszystkich niezliczonych balów, redut, rautów i maskarad, oto okaż przynajmniej swe względy dla Balu Prasy, który był najwspanialszy ze wszystkich.

A więc było to tak: Dnia 26 lutego wieczór zajaśniał rzęsiście Pałac Rady Ministrów i począł chłonąć w siebie tysiące — tak. tysiące — przedstawicieli elity warszawskiej. Już w pierwszej sali zapominałeś, człecze, o bożym świecie, bo oto przy stoliku z karnetami ujrzałeś najurodziwsze gwiazdy teatralne: Majdrowiczównę, Szmolcównę, Pancewiczową, Sulimę, a kiedyś spostrzegł boskie oczy Smosarskiej, byłbyś z godzinę stał jak urzeczony, cóż kiedy nowa fala gości uniosła cię do głównej sali, gdzie już szykował się polonez. Podał więc prezes Syndykatu Dziennikarzy, p. Z. Dębicki, ramię pani Prezesowej Grabskiej, w drugiej parze p. Premier prowadził p. Dębicką, dalej marsz. Trąmpczyński p. Ratajową, masz. Rataj p. Dąbską, a potem posłowie obcych państw wiedli polskie panie, których mężowie nawzajem prowadzili ambasadorowe. I patrzał może ze zgrzytaniem zębów na świetny ten korowód duch Paskiewicza, który ongiś mieszkał w tym pałacu...

Po części oficjalnej rozpoczęła się zabawa a że niezliczone tłumy nawet w wielkich salach pałacowych z trudem się mieściły, więc słusznie powiadano, że nigdzie niema takiej prasy, jak na tegorocznym balu prasy. Często też zaglądano dla ochłody do bufetu — i tańczono dalej, aż do białego rana. A nawet, jak twierdzą bywalcy „katzenjamerek" mniej dokuczał po tym balu, niż po innych. Czyż może być większy komplement?

Warszawa, dnia 4 marca. *W.*

ODEZWA

Komitetu Organizacyjnego Banku Polskiego.

Zapisy na akcje Banku Polskiego, przyjmowane przez wszystkie Oddziały Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej przy pomocy kilkudziesięciu banków polskich wraz z oddziałami oraz licznych spółdzielni kredytowych, trwają już od miesiąca. W okresie tym Rząd stworzył zasadnicze warunki dla uzdrowienia obiegu pieniężnego, zrzekając się w drodze ustawodawczej dalszego druku marek na potrzeby Skarbu i oddając nadzór nad polityką emisyjną i kredytową P. K. K. P. w ręce utworzonej w tym celu Rady Nadzorczej, złożonej z czynników społecznych.

Wielka i rozstrzygająca walka o trwałą naprawę Skarbu, o uzdrowienie pieniądza polskiego rozpoczęta. Toczy ją całe państwo i społeczeństwo dla oparcia dalszego rozwoju swego gospodarstwa i bogactwa narodowego na zdrowej i silnej podstawie, od której zależeć będzie zdrowie moralne, mocarstwowe stanowisko i szczęśliwa przyszłość narodu i państwa polskiego. O zwycięstwie rozstrzygnie wynik zapisów na akcje Banku Polskiego w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Komitet Organizacyjny, przywiązując wielką wagę do spopularyzowania sprawy Banku Polskiego w szerokich warstwach społeczeństwa, zwraca się z wezwaniem do wszystkich organizacyj obywateli polskich zarówno finansowych i zawodowych, jak i politycznych, społecznych, spółdzielczych, kulturalno-oświatowych, aby zechciały podjąć bezzwłocznie usilną propagandę w sprawie Banku Polskiego, w zakresie im dostępnym, nie czekając specjalnych w tym kierunku próśb ze strony Komitetu.

Musimy zwyciężyć! Własnemi siłami musimy zbudować własny, niezależny, mocny, przez nas samych ufundowany Bank Polski. Komitet Organizacyjny wzywa ponownie całe społeczeństwo do jaknajwiększego wysiłku woli i czynu zbiorowego.

Warszawa, dnia 29 lutego 1924 r.

KOMITET ORGANIZACYJNY BANKU POLSKIEGO

Stanisław Karpiński. Ks. Stanisław Adamski. Zygmunt Chrzanowski. Dr. Jan Kanty Steczkowski. Dr. Franciszek Stefczyk.





Oficjalna armia niemiecka po wojnie: 1) Minister Obrony Krajowej gen. v. Seeck na wielkim przeglądzie wojskowym w Wejmarze przechodzi przed frontem kompanji piechoty reichswery. 2) Gen. v. Seeckt przyjmuje z balkonu defiladę reichswery



Las Wolski i jego znaczenie dla Krakowa: Komisja miejska oglądająca las przy zakupywaniu go w r. 1917. Stoją śp. prez dr. Leo, po jego prawej inż. dr. Wobr obecny kierownik Zarządu lasu, po lewej wiceprezydent Saare.

Las Wolski i jego znaczenie dla Krakowa.

Od roku 1917-go posiada gmina m. Krakowa las na Woli Justowskiej z częścią gruntów ornych do niego przylegających o łącznym obszarze 407 ha. Wspaniały ten kompleks został na wniosek śp. prezydenta dr. Leo zakupionych przez Kasę Oszczędności m. Krakowa i w dniu jej jubileuszu ofiarowanym miastu na cel publiczny. Myślą bowiem Zmarłego prezydenta było po stworzeniu Wielkiego Krakowa, otoczyć go parkami i skwerami na modłę zachodnio-europejską dla podniesienia zdrowotności miasta. Chciał on zaniedbane po śmierci dyr. Małeckiego otoczenie Krakowa przyprowadzić do ładu, upiększyć i zalesić z urządzeniem parków dzielnicowych nagie wzgórza wapienne leżące dotąd odłogiem — jak skały Twardowskiego, Krzemionki o łącznym obszarze ok. 300 mg. wprowadzić racjonalnie urządzone gospodarstwo, któreby u swoich i obcych znalazło światowe uznanie. Nie danem Mu to było dokonać — zawcześnie niestety opuścił to miasto dla którego żył i pracował. Ludzie jednak którzy pomagali Mu za życia, żyją i walcząc z wielu przeszkodami tak natury moralnej jak i głównie finansowej starają się zrealizować powoli plany tyczące lasu wolskiego. Mam tu na myśli przedewszystkiem p. inż. W. Wobra, starszego radcę leśnictwa i kierownika Zarządu lasu miejskiego, który urząd ten sprawuje prawie bezinteresownie dla dobra ogółu. Sam las posiada obszar ok. 560 mg., z czego 150 mg. po jego stronie wschodniej i południowo-wschodniej tz. Panieńskie Skały, Wroni Dół, Skowronków Dół i inne, wydzielonem zostało na park ludowy, reszta zaś zniszczona wadliwą gospodarką byłych właścicieli, prowadzoną jest na wzór wzorowych i racjonalnych gospodarstw leśnych, aby nie tylko nie potrzebowała wkładów, ale i owszem przynosiła gminie dochody. Obecnie sześć lat minęło od chwili gdy las stał się własnością Gminy, a o istnieniu parku dowiaduje się przechodzeń jedynie z tablicy na skraju lasu. Winy w tym wypadku nie ponosi Zarząd, którego



Las Wolski i jego znaczenie dla Krakowa: „Wąż narciarski" na pólku trainingowem poniżej serpertyn w Wolskim lesie.

staraniom zawdzięczać należy usunięcie wojska z całego objektu i oddanie dawnych magazynów i wartowni na pomieszczenie służby leśnej. Istnienie magazynów, tak jak to było poprzednio z materjałami wybuchowemi w środku lasu zagrażało wprost bezpieczeństwu publicznemu więc zniesienie ich postawił sobie Zarząd jako pierwszy punkt, który urzeczywistniono dzięki życzliwemu stanowisku władz wojskowych, poparciu prezydjum miasta, a głównie niezmordowanym zabiegom samego kierownika Wobra. Drugim najważniejszym i dotychczas nierozwiązanym problemem jest brak wody tak źródlanej jak i zaskórnej w całym lesie. Należałoby więc urządzić przy gajówkach zbiorniki na wodę opadową, a poniżej ostatniego zbiornika rodzaj cysterny z filtrem skąd czerpać by można wodę do picia pompą. Brak robotnika na miejscu z powodu bliskości miasta daje się też we znaki. Sam las poza swem znaczeniem jako parku posiada i inne cele. Mam tu na myśli podniesienie kultury łowieckiej przez szczególną ochronę zwierzyny, oraz urządzenie bażantarni. Jakżesz bowiem miło jest wyrwać się z miasta, by odetchnać świeżem powietrzem i zobaczyć wynurzającą się z gęstwiny sarnę lub w zimie oglądać obłaskawione rzucaniem karmu bażanty. Obecnie jednak przeszkadza temu nie tylko zupełny brak funduszów na cel powyższy, lecz głównie także kłusownictwo rozpanoszone w 7 przylegających gminach. Pomimo tego racjonalna ochrona zwierzostanu przez Zarząd lasu, wykazuje w stanie zajęcy (tej jedynej narazie zwierzynv), poprawę z roku na rok. Polowania urządzane są raz na rok, a ostanie, z którego fotografję reprodukujemy, odbyło się niedawno, z rezultatem 56 zajęcy, ze sprzedaży których uzyskana kwota jest jednym z tych niewielu dochodów, jakie las narazie przynosi. Aby dochody powiększyć i ostateczny cel osiągnąć należy jeszcze dużo pracy włożyć w ten objekt.

Przedewszystkiem więc w części parkowej lasu trzeba na dawnych ścieżkach urządzić chodniki lub takowe stworzyć, trzeba postawić ławki i altany, trzeba wreszcie wybudować schronisko, gdzieby można odpocząć, zjeść i napić się, a w zimie i ogrzać się. Dzisiaj najbliższym takim etapem jest Wola Justowska po jednej, a Bielany po drugiej stronie lasu. Las ze swoim świetnym powietrzem nadaje się także wybornie na wybudowanie w nim ochronki dla dzieci, któreby tutaj znalazły wszelkie warunki rozwoju. Wreszcie i pod względem sportowym park taki powinien mieć pewne urządzenia. Zbudowanie toru saneczkowego koło głównej drogi na tzw. „serpentynach", t. j. od byłej wartowni w dół do drogi z Woli Justowskiej do Przegorzał, wkrótce by się opłaciło, gdyż tor taki cieszyłby się wielką frekwencją ze względu na swą długość, dobry zjazd i możność użycia „bobsleighów. Nie każdy bowiem jest narciarzem, ktory byle był śnieg wszędzie się na nartach dostanie i każdą pochyłość dla zjazdu wykorzysta. Dużo jednak jest ludzi, którzy nie jeżdżąc na nartach, chcieliby choćby na saneczkach zaznać przyjemności zimowych i których taki brak odpowiedniego toru saneczkowego zmusza do wyślizgiwania dróg i gościńców i utrudniania tem komunikacji. Należy więc zaapelować do najszerszych warstw obywatelstwa krakowskiego, jakoteż do wszelkiego rodzaju instytucji publicznych, by we własnym interesie przyczyniły się choć trochę do zrealizowania wyżej podanych planów.





Las Wolski i jego znaczenie dla Krakowa: 1) Uczestnicy polowania odbytego w dniu 31 I. br. Wśród obecnych znajdują się gen. Tinz i Stiller, inż. Wobr, prof. Pochwalski, dyr. Seifert, pułk. Becker, ppułk. Kostrzewski, mjr. Smolarski i rtm. Horoszkiewicz (król polowania) i inni. 2) Inż. W. Wobr, starszy radca leśnictwa i Kierownik Lasu Wolskiego, organizator i miły gospodarz świetnie udanego polowania.

B. WARCHAŁOWSKI.

Niesamowity wynalazek

4

Spojrzałem na zegarek. Dwónasta minut dziewięć godzin zaczynamy. Ociężale prowadzi astronom Arna po wąskich schodkach na dach. Otulam się w pled i siadam na obitym skórę fotelu przed kominkiem. Ciekawy będzie ten jutrzejszy dzień. Powieki mi ciężą, ciężą, jak ołów. Berta grzebie patykiem w dogasającym ogniu. Jej poczciwa, bezmyślna twarz czerwieni się w blaskach zarzewia.

I, z tej to izdebki uderzyć ma w świat grom?

Berto, proszę mi dać herbaty i rumu. Niema rumu? No, to daj koniaku!

Załomotało na schodach Schodzi Arno i Gaubin; napełniają mieszkanie przytłumionym gwarem.

Mój przyjaciel położył mi rękę na ramieniu...

— Trzeba będzie sprowadzić tu dziś jeszcze Zarę...

— Powieki mi cieżą coraz bardziej.

* *

W oknie zajaśniała lekka, blada poświata. Zamajaczyły na stole stole stosy grubych ksiąg; kontury krzeseł zlały się z zaczajonym w kątach mrokiem. Zda się ciepła jeszcze, batystowa koszulka Zary, mieni się tysiącem cieni i fałd.

Nie śpię. Za parę godzin. . . . .

Niejako teraz dopiero stanąłem „au conrant" szalonego biegu wypadków. Więc dzisiaj, dzisiaj jeszcze zacznie się dla ludzkości epoka... narodziny antychrysta... widzę w imaginacyi rozigranej miljony, miljony trupów na tem niemem pobojowisku. Rzucam okiem na stół. Czarny, dystyngowany futerał łyska na mnie jednem jedynem ślepiem klamerki; koło niego, jak wąż wije się skórzany pasek.

Więc to dzisiaj?

Z ciemnego kąta podpełzła do mnie drżąca, zimna, biała łapa lęku. Wraz z dreszczem musnęła mię po czole, piersi, włosach, zmroziła usta.

W oknie pobielało. Wyraźnie widzę teraz drzwi do pokoju astronoma i śpiącą, przytuloną do mnie Zarę, sylwetkę Arna wyciągniętą na kanapie, nieład... Woń spalenizny wieje od niewygasłego kominka, popiół rozsypany nadaje izbie piętno opuszczenia.

Dreszcz przebiegł po zamarzłych szybach.

Budzik na stole zaczął raptem dzwonić, szósta!

Arno automatycznie wstał i zapiął kołnierz. Z drugiego pokoju dochodzi rozgłośne chrapanie astronoma. Skrzypnęły drzwi i weszła Berta rozczochrana, kołysząca się jak gęś na zadzie. Wstajemy, budzę Zarę.

Mój przyjaciel popatrzał na mnie przeciągle.

— Za trzy godziny zaczniemy, mój drogi!

— Musisz napisać parę słów do ludzi poza pasem zniszczenia. Wyszlemy telegrafem iskrowym. Musi to być zwięzłe, ostre, rozkazujące Zawiadom ich, że władzę zwierzchnią bierzemy w swoje ręce. Resztę zrobią tam nasi sojusznicy.

— Biorę do ręki ołówek i piszę odezwę po francusku.

Milcząc wziął ją z moich rąk i wsunął do kieszeni.

— Głupie miny zrobią prefektury policji. Co? Roześmiałem się trochę nieszczerze.

— Wiesz drogi, gdy myślę o tej masowej rzezi, doznaję jakiejś dziwnej trwogi. Może to wyrzuty sumienia?

Patrzał na mnie zdumiony, jakby czegoś nie rozumiał.

— Więc przestań to czuć, Eryku. To przecież zależy zupełnie od twojej woli.

— Co? Ha? nieczyste sumienie?

— Na progu ukazał się astronom w bieliźnie. Krople wody spływały mu z włosów. Ten człowiek nie zapomniał dziś o rannym tuszu!

— Nieczyste sumienie? — ryknął — i pan się jeszcze bawi w takie głupstwa? Wyglądał tak, jak by szukał ofiary do partji boksu. Wyszliśmy z Arnem na dach instalować bezpiecznik.

Dmie silna wichura. Zamieć śnieżna nie pozwala sięgnąć okiem dalej niż na sto metrów. Nie wiem, czy wypogodzi się na tyle, by wysłać radio.

Rozkładamy na malutkim okrągłym stoliku różne przyrządy.

Wszyscy starają się nie okazywać zdenerwowania.

Zamieć powoli ustaje. Jeszcze godzina.

Arno popatrzał w lufę aparatu, poprawił nachylenie.

— Eryku, o ile nie masz nic przeciwko temu, to aparatem ty będziesz kierował. Ja stanę przy ochraniaczu. François będzie cały czas telegrafował odezwę.

Pamiętaj, że pod wpływem moich promieni, żelazo, znajdujące się na powierzchni, gwałtownie reaguje z wodorem. Może to być nawet ładny widok. O! widzisz? zabłysło słońce. Wszystko więc idzie nam na rękę.

Spojrzałem. Parę tysięcy stóp poniżej osiadł tuman mlecznej mgły. Naokół piętrzą się szczyty gór. O! widzę niedaleko stacyjkę i schronisko. Pełznie właśnie pod górę kolejka z turystami.

Schodzimy na dół na śniadanie.

III.

Z za gór, z za mgieł, gdzieś z pod obłoków szedł złowróżbny syk. Syczała trawa, syczały i dymiły domy, zmieniając się w bezkształtną kupę gruzów. Od czasu do czasu dawała się słyszeć wściekła detonacja z łona ziemi, a potem znów panował bezlitosny, zjadliwy syk. Ludzie padali, jak muchy, czerniejąc. Krowy, konie, owce oszalałe uciekały w popłochu gnane instyktem w różne strony, ale i ich dosięgał bezlitosny żywioł. Z za pagórków, z za skał wytryskały zielonawe płomyki; wokrąg zaległy kłęby dymu i znów gadzi szelest palących się drzew harmonijnie dostraja się do ponurego zjawiska. Na widnokręgach widać było jeno morze skaczących, zielonych ogników. A z gór, z niebotycznych, dumnych gór dochodził łomot kruszących się skał, jakby i pod ziemię wnikła niesamowita potęga.

W dolinach zaległy duszące, gęste dymy.

Z tego rejonu jedna noga ludzka nie wyszła żywa.

* * *

Stałem przy aparacie spokojny, choć pot strumieniami spływał mi z rąk, czoła, choć czułem, jak febrycznie trzęsą się podemną nogi. Mechanicznie oznaczam na mapie pola już objęte zniszczeniem, François śle ludziom straszniejszą jeszcze od zniszczenia wieść.

Z każdą chwilą staje się duszniej. Z trudem oddycham. W uszach mi szumi. Słyszę tylko metaliczne klekotanie radjotelegrafu i przerażający, tytaniczny syk tam... z dołu...

W ulicznych panewkach aparatu skaczą różnokolorowe iskierki. Olbrzymie wklęsłe zwierciadła ochraniacza ociekają od skroplonej pary. Ubranie mam mokre. Atmosfera staje się niemożliwa..

Wtłacza się Berta straszliwie zmęczona. Skoczyłem, by wziąć od niej wodę. Znów znika w parze z pustemi wiadrami.

Regularuje aparat. Coś popsuło się w zegarze od bezpiecznika. Wskazówka lata dokoła, jak opętana. Widzę, jak Arno z trudem usiłuje ukryć na twarzy przerażenie. Nie sposób powstrzymać aparatu. Momentalnie stalibyśmy się syczącą, bezkształtną masą.

Arno za wszelką cenę musi naprawić zegar. Wołam Zarę. Blada, słaniająca się, zastępuje go przy bezpieczniku.

Nic nie wie o straszliwem niebezpieczeństwie. Po schodach znów wbiega Berta; stawia wiadra na podłodze i ociera pot z czoła. Arno systematycznie rozkłada cząstki zegara na stole.

Co pół minuty zwracam rurę o jeden stopień kątowy całkiem mechanicznie. W pokoju pary coraz mniej. Kolorowe iskry aparatu powiększają się ciągle. Badam stan bezpiecznika.

Za trzydzieści parę minut o ile Arno nie naprawi zegara — bez apelacji przestaniemy istnieć.

Patrzę na jego ręce i na chronometr. Wypadła mu jakaś sprężynka i zaszyła się w kąt. Coś mną rzuciło. Szukamy jej wszyscy gorączkowo. Arno znów się bierze do składania. Posłałem Bertę, by odwołała astronoma od radjo telegrafu. Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa.

Jeszcze piętnaście do ośmnastu minut! Coraz mniej pary w pokoju.

Rączki aparatu rozgrzały się, więc trzymam je przez chustkę.

Znów zwrot o jeden stopień. Wlazł wreszcie François. Spojrzał na zegar, na nasze miny... zrozumiał.

Sprowadza nawpół omdlałą Zorę, staje przy bezpieczniku. Raźniej mi się zrobiło. Arno wreszcie zaczyna składać, zegar. Pedantycznie znikają wnętrzu porozkładane na stole śrubki.

— Arno, na miłosierdzie Boskie! prędzej!

— Rzucił na mnie złem okiem. Każda minuta wbija mi się w mózg, jak rozpalony drut. Zegar już prawie gotów. Jeszcze dwie czy trzy śrubki.

Berta, widząc niebezpieczeństwo dostaje napadu histerji. Drze włosy i biega po schodkach tam i z powrotem. Z kanapki rozlega się cichy jęk Zary. Zdaje mi się, że za chwilę sam będę biegał, jak opętany. Arno z żelazną cierpliwością kończy zegar... wskazówka... szkiełko... już...

— — — — — — — — — — — —

Nie mogę się powstrzymać. Rzucam się mu na szyję. Odtrąca mię, wkręca szybko zegar, gorączkowo wlewamy wodę do zbiornika. Zbawcze kłęby pary napełniają pokój. Obracam aparat co trzydzieści sekund o jeden stopień kątowy.

Rozradowana Berta biega tam i z powrotem z konwiami.

Resztę dnia i część nocy spędziliśmy w „dolce fare niente". Kiedy wszyscy usnęli, a z pokoju astronoma rozległo się znów głośne, chrapanie, Arno przysunął krzesło do kominka i zaczął mi rozsnuwać dalsze plany.

Narazie ludzkość jest dostatecznie sterroryzowana i niepotrzebnem by było niszczyć więcej. Musimy się teraz umówić z tymi, których nam tu przyszłą. Przedewszystkiem cały półwysep Bałkański ma być w przeciągu paru miesięcy opróżniony. Miasta, fabryki, osady, wszystkie tryumfy cywilizacji (mówił to z ironją), zrównane z ziemią. I tam stworzymy nową siedzibę pierwotnych społeczeństw. Ludzi wybierzemy tylko pięknych i zdrowych. Damy im za żony najpiękniejsze kobiety. To będzie pierwsza zdrowa placówka. Ale wątpię, czy wystarczy nasze życie, by zorganizować ustrój doskonały.

Trzymamy jednak wszystkie wodze w ręku. Jesteśmy w każdej chwili w stanie zniszczyć rejony, uznane za niebezpieczne. Zwyciężyć nas może tylko drugi podobny aparat. Na szczęście nie istnieje człowiek, który by znał naszą tajemnicę...

Drgnąłem. Przerażenie zamigotało w moich oczach. Istnieje... istnieje... jest tam gdzieś pomiędzy ludźmi... dziennikarz Oscar Behr... zna konstrukcję aparatu o tyle, że mógł by go wybudować bez wielkich trudności... oglądał plany...

Walczę z myślami, czy powiedzieć mu o tem. Spostrzegł jednak moje zmieszanie. Przepadło!

— Arno, parę miesięcy temu skreśliłem pobieżnie plan aparatu człowiekowi, który mi za to coś ofiarował...

Nie okazał nawet zdziwienia.

— Tak! ależ on musi zginąć! Czy mógł byś go odszukać?

— Owszem. Mieszka w Berlinie, ulica...

Pojedziesz tam, Eryku. Pojedziesz, nie zwlekając, jutro rano musisz sobie sam z nim dać radę.

Tak. Pojadę. Czy wrócę!... Czuję zimny lęk...

Przecież, zresztą nic łatwiejszego, jak pojechać autem do Berlina.

Arno patrzy na mnie rozsądnie, spokojnie... namyśla się.

Widzę w jego oczach wyrok śmierci...

* * *

Człowiek, który skreślił tych parę kartek, nie żyje.

Zgładził go Arno Hempel w chwili, gdy po dokonaniu morderstwa na dziennikarzu Behrze, wracał autem i dosięgnął już granicy obszarów zniszczonych. Ten sam aparat, którym miljonów ludzi pozbawił życia, zamienił go w bezkształtną kupę popiołu.

Eryk Van Ten zostawił po sobie notes, troskliwie przechowywany przez jego kochankę, Zarę.

Stanowczo za słabym był ten człowiek, by módz iść w parze z tym, który ze zniszczenia wyciągnął zapowiedź rodzącej się mocy.

Koniec.

LISTY ZE LWOWA.

(Sfałszowany nagłówek. — Co ma piernik do wiatraka? — Dlaczego pojechał pan Wyczółkowski do Chamonix. — Pomocnicy Chronosa. — Karnawał jeszcze w całej pełni. — Winda Towarzystwa Wzajamnej Adoracji. — „Megałomania grandiosa“. — Ruch wydawniczy we Lwowie. — Per Aspera ad Astoria).

Będzie to list nieco sfałszowany w nagłówku, bo treść jego rozsadzi ramki lwowskie i zahaczy o naszą piękną, sto-licą stolicę. Myślę o Warszawie.

Wbrew intencjom syreniego grodu, życie od czasu do czasu zahacza w swoim pędzie o miasta „prowincjonalne“ i omotuje je nićmi, których cały kłębuszek spoczywa w dłoniach warszawskiej Syreny. Tworzy się w ten sposób jedna splątana całość, którą zeszyły owe nici warszawskiego kłębuszka na rozkaz Życia.

Nie dziwcie się więc, że człowiek mający nieszczęsny nałóg pisywania feljetonów zmuszony zostaje do „obrobienia“ całości, pomimo tego, że zamierzał pisać tylko np. o Lwowie lub o innej „prowincji“.

Chcieć wyłączyć Warszawę z jakiejkolwiek afery abderyckiej, znaczyłoby nie dać czytelnikowi dokładnego obrazu całego rozgrywającego się głupstwa i zasłużyć sobie na miano stronniczości, tembardziej, że w każdem takiem głupstwie Warszawa zdobywa sobie pierwsze miejsce.

Przystępuję więc do omówienia pewnego zdarzenia, które zespoliło Warszawę i Lwów w jedną całość nie dającą się odłącznie traktować i dlatego pisząc o Lwowie muszę też pisać i o Warszawie.

Wszyscy przypominacie sobie zapewne ostatnią olimpjadę w Chamonix? (Widzę Wasze zdumione miny, wyrażnie mówiące: „Co ma piernik do wiatraka?)... Chwileczka cierpliwości, a zaraz się kłębuszek zacznie rozplątywać!). Otóż na te igrzyska olimpijskie w Chamonix miał Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich (P. K. I. O) w Warszawie desygnować najgodniejszego współzawodnika, czyli sportowca mającego najlepsze kwalifikacje. Nolens volens musiano sobie przypomnieć w Warszawie, że we Lwowie żyje Wacław Kuchar, mistrz w jeździe szybkiej na rok 1923 dla całej Kong'esowo-mało-wielkopolski.

Otrzymuje więc Wacław Kuchar pewnego dnia pilny list wzywający go do Warszawy.

Chłop odbiera na gwałt dwa kołnierzyki z pralni, żegna się z wierzycielami, sprzedaje gramofon, palto i jeszcze coś, aby opłacić koszta podróży i jazda do Warszawy.

— A, jak się mistrz ma? — wołają uradowani panowie z warszawskiego Olimpu. - Dobrze, żeś pan przyjechał, gdyż z góry wiemy, iż pan się nie poszkapi w Chamonix, ale z przykrością musimy panu zakomunikować, że pan do Chamonix... wcale nie pojedzie...

— Gwałtu! A to dlaczego?..

— Dlatego, że pojedzie pan Jucewicz.

— Kto to jest pan Jucewicz?...

— Widzi pan... jakby to panu powiedzieć?... Pan Jucewicz to jest syn starego pana Jucewicza i dlatego pojedzie do Chamonix.. Zresztą on już ma gotowy paszport, a pan nie ma paszportu...Aha!...

— Ależ to jest skandal! — zawołał Wacek Kuchar. — Ja, który mam za sobą wszystkie rozgrywki wszystkich klas i mistrzostwo Polski...

— Niech się mistrz uspokoi! Pan Jucewicz jedzie wprawdzie, ale na koszt Akademickiego Związku Sportowego, a my mu tylko dodajemy 400 złotych polskich za faigę.

— A cóż panowie zrobicie z temi pieniądzmi, które dotychczas napłynęły na koszta olimpjady?...

— Hm, co my zrobimy?... Za te pieniądze pojedzie do Chamonix pan Wyczółkowski.

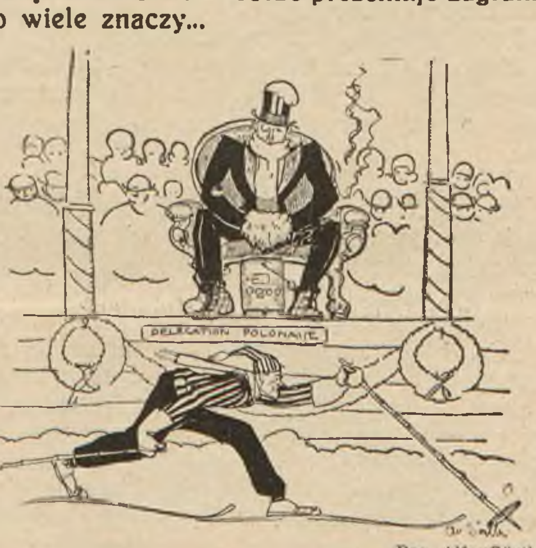
— Kto to jest pan Wyczółkowski?...

(— Kochany Raorcie! — Stop! Wybacz — ale wsadzimy Ci tu zastrzeżenie redakcyjne! Czemużeś się tak złośliwie uwziął na Jucewicza? Czyż go nie znasz doprawdy? To sporstmen całą gębą i przytem nasz zacny korespondent sportowy z Estonji. Nie znasz p. Wyczołkowskiego — doskonale. My także o nim nic nie wiemy. Ale o Jucewiczu powinienbyś coś wiedzieć, choćby jako o swym współkoledze z łamów naszych „Nowości“. Wybacz więc, ale w tym miejscu musimy wtrącić swe redakcyjne „trzy grosze“ i oświadczyć czytelnikom naszym:

— Iżeś słusznie uczynił Raorcie piętnując skandal olimpijski z Kucharem — aleś niesłusznie pokrzywdził Jucewicza, jedynego z olimpijskich Polaków, który przynajmniej jakieś miejsce zdobył.

Tu koniec nawiasu. Dłoń Twą szlachetną złośliwą ściskamy Redakcja).

— Pan Wyczółkowski?... Bardzo sympatyczny człowiek! Znamy go od dziecka. Chce jechać do Chamonix. więc niech jedzie!... Nie uwierzy mistrz, jak się ten człowiek dobrze prezentuje zagranicą, a to wiele znaczy...



Rys. Alfr. Gürtler.

I do Chamonix pojechał pan Jucewicz, zyskując szesnaste miejsce wśród państw uczestniczących w olimpjadzie i pan Wyczółkowski, który z prawdziwem zadowoleniem reprezentował w Chamonix Polski Związek Igrzysk Olimpijskich na tegoż koszt i niebezpieczeństwo.

Zaś do Lwowa wrócił mistrz Polski Wacław Kuchar na koszt Polskich Kolej! Państwowych i niebezpieczeństwo przyłapania jazdy na „gapę“.

Myślicie, że już koniec olimpijskiej odysseji Kuchara?... Figa!

Dnia 17 i 18 go lutego b. r. rozegrały się zawody w jeździe szybkiej o mistrzostwo Polski na rok 1924 — znowu w Warszawie.

Wacek Kuchar staje naturalnie do zawodów.

— O, mistrz znowu w Warszawie? — pytają sportakowcy warszawscy.

— Aha! — mówi flegmatycznie Kuchar.

— Pi, pi, zobaczymy!... Jucewicz także staje... W każdym razie wypuścimy mistrza do startu, gdy Jucewicz już będzie w połowie drogi.

— A nasypali piasku! — zawołał oburzony Wacek po lwowsku. — Jak Boga mego, że wam gęby porozbijam!

Sportakowcy warszawscy porozumieli się szybko oczyma.

— No nie, żartowaliśmy tylko!... O biegu decyduje tylko czas, a nie sympatje...

Czyż dziwić się teraz, że warszawscy sportakowcy postanowili pomóc staremu Chronosowi w trudnej pracy odmierzania czasu?...

Że działo to się właśnie w chwili kiedy Kuchar i Jucewicz stanęli do zawodów, jest to tylko kwestją przypadku...



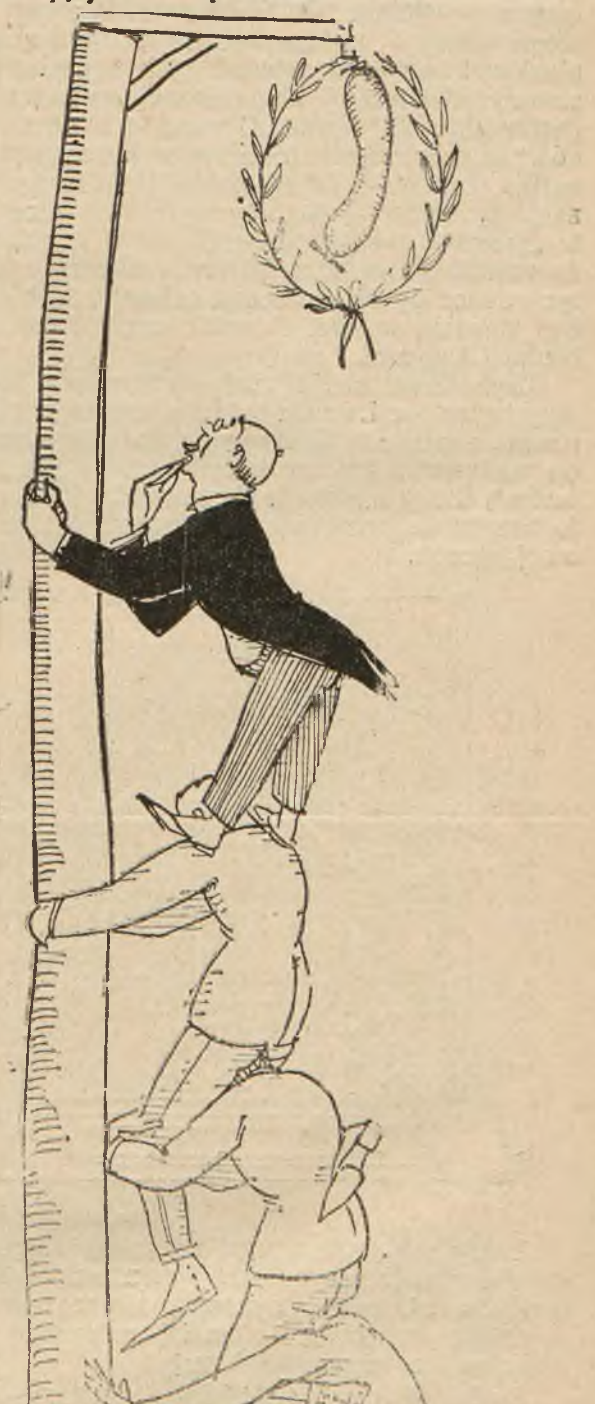
Rys. Alfr. Gürtler.

Pomimo tego otrzymał Kuchar ponownie mistrzowstwo Polski na rok 1924.

Czas już najwyższy, aby się odplątać z kłębka warszawskiego i powrócić do wyszywanek na kanwie lwowskiej.

Karnawał jeszcze w całej pełni Taneczna patologja porywa obok grypy coraz to inne ofiary i niema mowy o przesileniu tej epidemji... Człowiek mimowoli staje się biernym mistykiem i za Tołstojem powtarza: „Nie sprzeciwiajcie się złu“. — To trudno! Na obłęd taneczny nikt nie zaradzi. Bakcyl kręćkowy dotychczas nie został jeszcze odkryty przez lekarzy weterynaryjnych i jak długo to się nie stanie, obłęd ten czynić będzie spustoszenia.

Inny jednak obłęd specyficznie lwowski, czyni również zatrważające postępy wśród światka t. zw. artystyczno-literackiego. Chorzy na obłęd t. zw. megalomanji wyobrażają sobie, że mają coś wspólnego z literaturą czy sztuką i w tym podświadomym stanie windują się na wyżyny, gdzie czeka ich rogatkowa sława i wieniec laurowy, otaczający... liberkę.



Rys. Alfr. Gürtler.

Owo powiedzenie Przybyszewskiego: „Nascit roch epiro gazes eremi żryj“ biorą wielkości lwowskie jeszcze ciągle jako dewizę wiodącą ich przez nędzę ich bytowania „ad astra“ — nie wiedząc, że znaczy ona: „Naści trochę piroga ze serem i żryj“.

Co drugi rymorób uważa za święty swój obowiązek, aby zaprodukować się ze swoim „wieczorem autorskim“ przed P. T. Publicznością — stare pierniki mające w dorobku lite rackim dziesięć wierszy patrjotycznych lub dwie impresje wiosenno-jesienne, lansują się na cokół nieśmiertelnych — anemiczne babuleńki, miast cerować pończochy, grasują bezkarnie po mieście i gdaczą o swojej twórczości — nędzni kompilatorzy zapowiadają szumnie swe epokowe dzieła, a grasanci publicystyczni patentują lub unicestwiają owe rogatkowe kukły wypchane gazetowym papierem i nudą.

A spróbuj którejś z tych kukieł stanąć na drodze!... Powiedz, że nie dojrzała jeszcze do przewiezienia do podziemi wawelskich!...

Wszyscy okrzyczą cię renegatem, zdrajcą ojczyzny, potworem, matkobójcą. Wszyscy staną zwartym szeregiem przeciw tobie! Anonimowe Towarzystwo Wzajemnej Adoracji zakrzyczy cię, opluje i unicestwi...

Na przekór i z solidarności pchnie autor jednego parszywego sonetu drugu mizerotę grasującą w liryźmie ku liberce zawieszonej na słupie sławy — twórca odczytu „O narządach pluskwiaków“ poda usłużnie barki zidjociałemu znawcy od sztuki — długowłosisty profesorzyna „przez stosunki“ wyda „O narządach pluskwiaków“ w ozdobnej książce pracę swego socjusa — socjus wygłosi o swoim dobrodzieju odczyt — znajomy korsarz polityczny wyrobi im recenzje w „prasie“ — i tak dźwięczy Lwów od rogatki do rogatki sławą domorosłych wielkości, z których śmiać by się serdecznie należało, gdyby nie byli zarazem w swej chorobie megalomanji tak biedni i tragiczni...

Czyż dziwić się, że ruch wydawniczy, który dotychczas we Lwowie był najsilniejszy zamiera prawie zupełnie? Wydawcy są wprost zmuszani do wydawania książek swojsko chowanych „autorów“, których pies nie chce czytać, a jeśli czyta to bezpłatnie przed witryną księgarską i to na swój sposób.



Rys. Alfr. Gürtler.

Lwów jest teraz wprost zasypany książczy nami dorastających bubków warszawskich żerujących w „Astorji“. Ci potrafią zawsze zarwać naiwnego czytelnika i niemniej naiwnych wydawców. Per aspera ad Astorja!...

Lwów, w marcu 1924. *W. Raort.*

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowośc Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkego l. 95.*

List z Warszawy.

„Od poranka do północy“ Jerzego Kaisera w teatrze polskim. — 18.000 lokomotyw i 400.000 wagonów. — „Weltbrand“ — Łódź. — Stosunki nasze ze Wschodem. — Niech żyją banki.

Więc teatry. Przedewszystkiem teatry.

Wśród publiczności kulturalnej narobiła ostatnio dużo chałasu ponura, ciężka, okropna w ideologji swojej czarna, przerażająco czarna sztuka głośnego niemieckiego ekspresjonisty Jerzego Kaisera „Od poranka do północy“.

Recenzent „Kurjera Warszawskiego“ rozpisuje się długo o tym młodym niemieckim autorze zaliczonym w poczet wodzów ekspresjonizmu teatralnego i stawia szereg zasadniczych znaków zapytania.

Gdzie tu i dlaczego tu ekspresjonizm?

Bóg wie. Bóg jeden wie to napewno. Ale sztuka jest interesująca. Oddajmy w tej materji pióro ercenzyjne najmilszemu z krytyków polskich, słodkiemu, kochanemu Kornelowi

Otóż Makuszyński pisze:

„Człowiek łamie sobie życie przez kradzież, by móc odbyć wędrówkę przez życie i znaleźć w niem to, czego dotąd nie zaznał, a co pewnie jest, co musi istnieć, tylko on tej jasności nie mógł dojrzeć, on, dotąd ślimak w skorupie. Ukradłszy. widzi ze zdumieniem, że w skomplikowanej maszynie ludzkiej gotowy jest mechanizm do wszelkich czynności instynktów przysposobiony, tylko bez podniety nieczynny. Uczciwy dotąd, umie doskonale, ze sprytem wytrawnego złoczyńcy zatrzeć ślady, poza sobą.

Od tej chwili — „od poranka do północy“ odbywa wędrówkę od stacji do stacji, a każda się wyda stacją męczeńską. Dom rodzinny jest okropnem więzieniem, pełnem złego powietrza, ciasnoty, pospolitości, szarzyzny, kotletów i głupiej śmierci „ byle czego“.

Pozór życia nosi maskę na twarzy, zjedzonej przez chorobę i nędzę; namiętność tłumu i jego szał, wspaniały szał gromady zachwyconej, pada na twarz i milknie na widok strupieszałej dostojności; wszystko jest puste i kłamliwe; więc może pokora i spowiedź, może pokuta napełni treścią duszę łaknącą treści; człowiek ten w ekstazie pokuty ciska w tłum pieniadze, aby go zachwycić i zbawić; tłum się skłębił w wężowisko i oszalał na widok pieniędzy. Została przy nim jedna dziewczyna — ostatni promień; wiec ten człowiek nieszczęsny. który szuka wciąż i zawsze, wygłasza hymn na cześć tego, co może się stać pełnią życia: na cześć obojga płci, co wydadzą radość. Ta dziewczyna, która go przywiodła do wyznania, sprowadza policję, aby otrzymać nagrodę za wskazanie defraudanta.

Jest to sztuka okropna. Czarna, do szpiku kości rozpaczliwa sztuka; mogła ją urodzić tylko więzienna posępność germańskiej duszy, której bogowie pili krew, mordowali się i oszukiwali. Przekreśla ona wszelką nadzieję, wyłącza możliwość naprawy, ratunku, straciła wiarę w człowieka, w miłość, w serce, w słońce, we wszystko jasne. Strindberg nie jest taki rozpaczliwy“.

— A więc dopatruje się wnikliwy krytyk polski cech rasowych germańskich w tym piewcy humanitaryzmu, pacyfizmu, internacjonalizmu jakim jest niewątpliwie Kaiser.

Zwycięża krew twardej, północnej, ponurej rasy.

Jakieś dalekie przedwieczne echa krwawych, okropnych germańskich legend zrodzonych w krwi, utopionych w krwi i dlatego beznadziejnie smutnych. Okropny błysk jakiegoś dalekiego pożaru w którym się spala świat cały, ponura, okrutna, bezlitosna „Weltbrand“, w której ginie życie...

Ale to wszystko to jest literatura, scena, poezja...

Nierównie bardziej symptomatyczne i niepokojące są inne wiadomości z ponurej ojczyzny Kaisera, jak n. p. te ostatnie — o wyprodukowanych od czasu zawicszenia broni 18.000 lokomotyw i 400.000 (czterystu tysiącach!! sic) wagonów..

Niezmożona jest widać energja rosłych, barczystych, rudobrodych zdobywców i katów Kalisza,..

Czy my o tem myślimy i czy myślimy dosyć?

Min. Zamoyski w swojej mowie programowej mało zdaje się uwagi poświęcił naszemu sąsiadowi zachodniemu, zaprzątnięty sprawami równie ważnemi uaszej granicy wschodniej. Z tej zaś strony jest niewątpliwie lepiej i... gorzej!

Lepiej, bo nasze sojusze i układy z państwami bałtyckiemi, bądź co bądź wzmacniają nasze stanowisko na Wschodzie — ...gorzej — bo wersje o rozkładzie i nieładzie w Rosji zdają się być o wiele przesadzone, fakt zaś że budżet rosyjski jest albo już czynny, albo w każdym razie czynności bliski, nabiera szczególnej wagi, zwłaszcza dziś, gdy w wyścigu *o koncesje w Rosji* (powody uznania de jure) zbliża się finisz, w którym na równi pragną zdobyć pierwsze miejsce Macdonald i„. Mussolini!! Tempora mutantur... a my niezmieniamy sią niestety wcale.

To źle. To gorzej jak źle, bo niemądrze!

Najrealniej zawsze myślące sfery przemysłowe i kupieckie zrozumiały dawno ważność Rosji jako importera i dlatego ze zgrozą myślą o chwili, w której miejsce bliskiej Łodzi zajmie daleki Manchester, a miejsce Górnego Śląska — Westfalja... A tymczasem Łódź „dusi się“ w nadmiarze wyprodukowanego towaru, na który nie ma nabywców, redukuje dni pracy do czterech do trzech... wypowiada setkom robotników dziennie...

Jest mróz, jest chłód... może być głód... w „mlekiem i miodem“ płynącej Polsce!

Trzeba uważac.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych wre praca nad utworzeniem wicedyrektorjatu dla spraw wschodnich, który będzie miał za zadanie czuwania nad całokształtem stosunków naszych z Rosją, państwami bałtyckiemi, Bałkanem i Turcją, daleką budzącą szczere uczucie „wieczystej przyjaźni“ odrodzoną, zdrową, młodą, kemalistyczną Turcją.

Myśl ta, myśl niewapliwie p. min. Zamoyskiego zdaje się być słuszna, zwłaszcza, że choć dzisiaj stosunki nasze z dalekim Wschodem ograniczają się zapewne do niesłychanie nikłej ilości interesów wspólnych, to jednak nigdy nie można bzć w polityce zanadto przewidującym. A tutaj idzie przecież o przyszłość.

Dlaczegoby nie mogła zająć kiedyś Angora tego miejsca, jakie zajmował ongiś Carogród?

Dosyć polityki.

Nadmiar jej działa niedobrze na nerwy.

Ale skoro mowa o Turcji to nie od rzeczy będzie wspomnieć te roje Turczynek — sulamitek — odalisek mieszkanek haremów i słnżebnic uroczych meczetów, które ukazały się w Warszawie na tegorocznych redutach i balach.

Ex oriente lux — w modzie i dzisiaj Wschód nie przestał odgrywać wybitnej swojej roli. Żeby tylko wymienić wszechwładztwo irchy w strojach eleganckich pań Warszawy, Paryża, Wiednia, irchy, która jak wiadomo jest „narodową“ skórą Turcji w postaci irchowych pantofli, turbanów, sukien, nakryc głowy, irchowych płacht do nakrywania kanap, foteli a i klubowych stołów w zeuropeizowanym Konstantynopolu.

Ircha — ircha!

Ircha jako pasek, ircha jako bucik, rękawiczka, kapelusz, ircha jako kołnierz i manszety jako kurtka, jako pled, ircha jako... podwiązki (sic! drugie okno wystawowe u Hersego!!) ircha, ircha, ircha!

Ircha jest ostatnim krzykiem mody wiosennej.

Dlatego też Warszawa „irszeje“, obrasta w irchę i jest jej w tem najzupełniej do twarzy.

Wogóle sanacji w tragicznych jej przejawach (zubożenie) nie znać.

Czasem nasuwa się nawet pytanie (głupie!) skąd na wszystkie te kolosalne wydatki biorą ludzie pieniądze?

— — — — — — — — — — — — — — —

Jaskrawą odpowiedź na to niedyskretne (głupie!) pytanie rzuca od czasu do czasu... afera w guście ostatniej dyr. George'a lub... pomocników nadkomisarza P. P. Wiskowskiego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jedno jest więc niezbicie pewne, zawsze i wszędzie niezmienne, że pieniądze tak czy owak, bierze się z... banku!

— Hop! die Bank! Niech żyją banki!

Warszawa w lutym. *Montecucculi.*



Popielec.

(Do ilustracji tytułowej).

Jeszcze wczoraj Kraków rozśpiewany, roztańczony, pogrążony w blaskach kinkietów, rozedrgany konwulsyjnie przy dźwiękach „shimmy“ lub „jawy“, osnuty tajemniczym, a smakowitym zapachem smażących się pączków śnił ostatni swój sen karnawałowy.

Jeszcze wczoraj powiewne damy, osłonięte jedwabnemi chustkami, mającemi uchronić kunsztownie upięte fryzury przed wiatrem, mknęły w gorączkowym pośpiechu na bale, reduty i wieczorki, pogrążające nasze niebardzo podłe miasto w miłym, buduarowym zamęcie. A dziś?

Prastary podwawelski gród wyciągnął obolałe, a od nadmiaru tańca zmęczone nogi i przyoblókł się w szatę czarną, pokutną, posypawszy sobie wprzód skrupulatnie głowę popiołem. Rzęsiście oświetlone okna zbladły, nawet śnieg biały, wesoło chrupiący śnieg zamienił się w czarną, brudną, niechlujną zupę, jakby też chciał się w ten sposób przyczynić do ogólnego umartwienia.

Memento mori!

Na twarze, zarumienione jeszcze, na oczy, świecące się blaskiem tanecznych upojeń padł cień popielca. Milczący kapłan sypie popiołem na schylone głowy. W kościele setki czarnych starych panien, które nie zaznały wcale karnawału obrzucają spojrzeniem nienawistnem, mściwem, zazdrosnem śliczne dziewczę, które przyszło wyspowiadać Bogu swe małe karnawałowe grzeszki.

Osowiał Kraków i jak stary, skruszony grzesznik, zwiesił głowę i bije się w piersi; tylko wiosna, jakby drwiąc sobie z ogólnej skruchy, roztacza nam najwcześniejsze swe wdzięki. Słońce już naprawdę wiosenne, skruszyło lody, a niebawem zaczną pod wpływem ciepłych jego promieni, rozkwitać i zielenić się drzewa i pola.

Nie martwcie się więc, karnawałowi grzesznicy. Po szaleństwach karnawału przyjdą niebawem urocze szaleństwa kwietnej wiosny. *B. W.*

Ludendorff i Hittler przed sądem.

„...W Poznaniu, Toruniu i Strassburgu poznałem jak dalece centrum przeszkodziło tam rozwojowi niemieckości. Następstwem polityki centrum było to, że Śląsk stał się polskim“.

Słowa te wypowiedział na swą obronę w swej trzygodzinnej mowie były szef sztabu gener. Niemiec w czasie wojny marsz. Ludendorff, oskarżony wraz z bawarskim Hittlerem o zamach stanu w dn. 9 listopada ub. r.

Warto bliżej przypatrzeć się tej sprawie, która zrozumiałe zainteresowanie — radość czy obawę, gniew i nadzieje — wywołała w całych Niemczech i u wszystkich sąsiadów wrogów i sprzymierzeńców. Niemcy a szczególnie Bawarja i Prusy bynajmniej nie zapomniały o klęsce swej. Ze zdwojoną siłą i energją organizują się i przygotowują Niemcy nacjonalistyczno - monarchiczne, Niemcy Kaisera i Kronprinca, Bismarka i następcy jego Hindenburga czy Ludendorffa do zmiany obecnej sytuacji: „powersalskiej“ — do obalenia obecnego rządu, marszu na Berlin — a następnie skierowania swych odwetowych planów w stronę Strassburga — Poznania, Torunia i Śląska.

Czyż Ludendorff i Hitler są odosobnieni? Co na to wielkie masy? Co na to społeczeństwo? Odpowiedź mogłyby dać zdjęcia nasze z procesu tych 2 przywódców w Monachium; władze niemieckie otoczyły gmach sądu zasiekami z drutów kolczastych, by uchronić powagę sądu, przeprowadzają trzykrotną ścisłą rewizję osobistą, by jak najściślej skontrolować wchodzących na salę obrad — otoczyły wojskiem i policją, „Reichswerą“ i „Schupo“ by ustrzedz się przed niespodziankami setek organizacji wojskowych o różnych nazwach i nawet zabarwieniach społecznych, których celem ostatecznym: wojna odwetowa, przywrócenie dawnego blasku „Vaterlandowi“.

A przypatrzmy się „Niemcom oficjalnym“ oficjalnej reichswehrze; zdjęcie nasze przedstawia gen. v. Seeckta, ministra wojny obecnie, odbywającego przegląd wojsk w mieście Goethego i Schillera — w Weimarze, Czyż wygląd nie ten sam co przed wojną? Czyż może ktokolwiek mieć wątpliwości jakieś, że w danej chwili nie połączą się reichswera i organizacje Hittlera i Ludendorffa w jedną potężną armję pruską, popartą świetnymi wynikami i zdobyczami techniki niemieckiej, całym sercem i całym swym bezprzecznie wielkim genjuszem pracującej dla zwycięstwa wojny odwetowej?

Ze zdwojoną uwagą powinna Polska śledzić przebieg procesu tego, w którym tak jaskrawo w każdem niemal odezwaniu, w każdem słowie brzmi ta stara nuta nacjonalistycznego szowinizmu pruskiego, ta tęsknota za „Wacht am Rhein“ i „an der Weichsel“.

W chwili gdy piszemy te słowa nie zapadł jeszcze wyrok sądu monachijskiego, który ma orzec o zdradzie głównej feldmarszałka Ludendorffa i Hittlera; jakikolwiek będzie wynik sądu i jakikolwiek wyrok wszyscy są pewni tego w Niemczech, że włos z głowy nie spadnie oskarżonym.

Choć na pozór może wydaje się, że rząd berliński na tyle jest silnym, że potrafi wykonać każdy wyrok sądu, to jednak baczny obserwator łatwo dostrzeże tę przewagę „Niemiec Ludendorffa“ nad „Niemcami Eberta, Rathenaua, Stressemana i t. p.“ t. zn. „Niemiec nie uznających traktat wersalski“ nad „Niemcami uznającymi ten traktat“.

A jeżeli — rozmyślając chwilkę nad tym nieudałym putschem Ludendorffa, którego epilogiem w każdym razie nie jest obecny sąd zastanowimy się głębiej nad jego słowami, które na swą obronę wypowiedział, pomyślimy o tem, że za Ludendorffem stoi 5 miljonów świetnie i jednakowo wyświczonych, wymusztrowanych no i pragnących rewanżu byłych żołnierzy i oficerów, karnie zorganizowanych w najrozmaitrze „bundy“, „bandy“ „heimy“ i „vereiny“ — to warto nareszcie szczerze zastanowić się nad pytaniem: „Czy my przewidujemy należycie następstwa i skutki „ludendorfszczyzny“ w Niemczech?“ *S. B.*



Królewscy narciarze: Król norweski Haakon i syn jego królewicz Olaf na przejażdżce narciarskiej na polacch pod Chrystjanją



Znakomita artystka krakowska p. Konstancja Bednarzewska święci obecnie tryumfy w teatrze lwowskim.

Występy P. K. Bednarzewskiej we Lwowie.

Świetna artystka krakowskiej sceny im. Słowackiego, znakomita grande coquette salonowego repertuaru p. Konstancja Bednarzewska wystąpiła ostatnio gościnnie we Lwowie, witana entuzjastycznie przez tamtejszą publiczność i krytykę. Jak podnoszą zgodnie wszyscy recenzenci lwowscy występy p. Bednarzewskiej były dla Lwowa pierwszorzędną atrakcją artystyczną przypominającą tamtejsze jej czasy, z ery śp. Pawlikowskiego a doskonała i głęboka sztuka gry tej artystki, podniosła poziom wieczorów z jej udziałem. Lwów pamiętający swoje ulubienice i wrażenia im zawdzięczające, powitał p, Bednarzewską po kilku latach iście po królewsku.

Na pierwszym występie w „Czaplem piórze“, Nicodemi'ego, zasypano ją i całą scenę kwieciem a sala brzmiała oklaskami, niesłyszanymi tam, według bywalców od bardzo dawna. Bo też należy podnieść, że w kreacji tej, pamiętnej także i w Krakowie z przed paru lat, jest p, Bednarzewska niezrównana w pełnej najwyższego artyzmu i finezji interpretacji tej postaci, co umie ocenić nawet dzisiejsza publiczność, która u nas gromadnie zapełniała cały szereg powtórzeń tej sztuki.

Wybitna kultura artystyczna i oszczędna a jednak jakże wymowna ekspresja czynią z gry p. Bednarzewskiej koncert sztuki aktorskiej, rzadko spotykanej wśród dzisiejszego pokolenia, to też występy jej obecnie ściągnęły do teatru gromadnie dawnych koneserów a prasa lwowska brzmi zgodnym hymnem dla tego tryumfu prawdziwej sztuki.

Królowie na lodzie i śniegu.

Wiek XIX był wiekiem pary i elektryczności, wiek XX już dotychczas zasłużył na nazwę wieku radjotelegrafu, Ligi Narodów i... sportu.

Żyjemy bowiem pod znakiem sportu. Sportują wszyscy, kopią football, pływają i skaczą na nartach. W czasie olimpjady w Chamonix 18 narodów świata z napięciem oczekiwało wieści o wynikach.

Tu sport się stawał niemal hazardowną, denerwującą grą. Zawodami o lepsze, pochłaniającemi ambicję w każdym razie. Lecz pozatem sport może być także i miłą, beztroską rozrywką, wypoczynkiem i przyjemnością. Oto widzimy na fotografjach naszych koronowane głowy uprawiające sporty zimowe. Władca krainy fjordów, król Haakon norweski jest zapalonym narciarzem równie jak i syn jego, następca tronu książę Olaf. Książę nawet wybierał się do Chamonix by osobiście wziąć udział w zawodach — lecz ze względu na „rację stanu“ wycieczka ta spełzła na niczem.

To też tylko mieszkańcy stołecznej Chrystjanji oglądają od czasu do czasu swych władców, obecnego i przyszłego, uprawiających na śnieżnych polach podmiejskich jazdę na nartach, która jest dla nich wypoczynkiem po uciążliwych trudach reprezentacji i kłopotach państwowych.



Królowie na śniegu i lodzie: Najbogatszy człowiek w Ameryce Henryk Ford, który w wolnych chwilach z zapałem uprawia sport łyżwiarski na lodzie jeziora w pobliżu fabryk swoich w Detroit.





Wizja dantejskich piekieł: Zdjęcie z katastrofy japońskiej, których rozpowszechnienie przez rząd japoński dotychczas było zakazane. 1) 35.000 tłum uchodźców zgromadzony na placu Hifukusho. Zdjęcie wykonane w 2 godziny po głównym wstrząśnieniu, gdy pożar dopiero zaczął się szerzyć. 2) Ten sam plac na trzeci dzień po katastrofie, w której spalił się w pożarze cały niemal tłum widzialny na poprzedniej fotografji. Robotnicy z osłoniętemi ustami i nosem znoszą szczątki ciał na stosy, które następnie spalono ostatecznie.

Wizja dantejskich piekieł.

33.000 osób spalonych żywcem.

Specjalny sprawozdawca paryskiego pisma Illustration, który od kilku miesięcy bawi w Japonji, — podaje w ostatnim swym liście z Krainy Wschodzącego Słońca, straszliwy, jakby z dantejskich wizji zaczerpnięty, a tym jeszcze straszliwszy, że prawdziwy — obraz tragicznej katastrofy tokijskiej. Scena ta była tak straszna, że rząd japoński w pierwszych tygodniach po katastrofie zabronił rozpowszechniania fotografji ilustrujących ową „tragedję Hifukusho", aby nie powiększać jeszcze powszechnego przygnębienia.

Że katastrofa ta była jedną z najstraszliwszych jakie ludzkość od niepamiętnych czasów przeszła — świadczy o tem opowiadanie jednego z uczestników, cudem niemal ocalonego. który opowiedział wrażenia swe korespondentowi „Illustration", p. Balletowi.

Oto co on mówił:

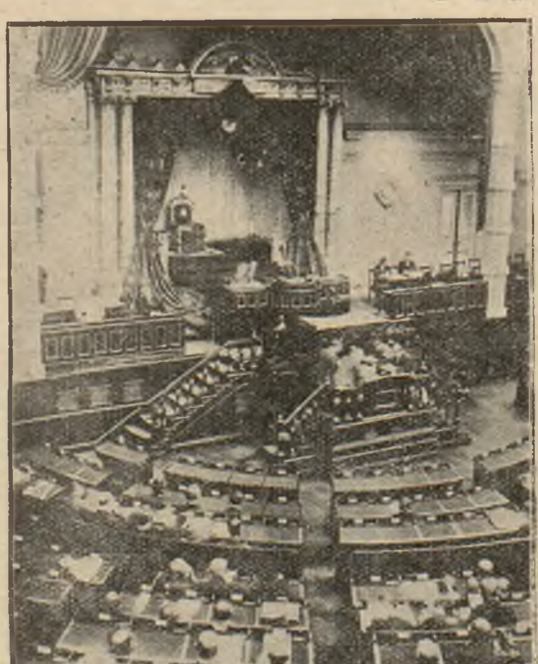
— Mieszkałem w dzielnicy Hon-dżo z rodzicami i czterema braćmi mojemi. Dnia tego, spożywaliśmy właśnie posiłek południowy, gdy dom cały zaczął się trząść, a wszystkie przedmioty spadać ze ścian. Sufit kawałami opadał nam na głowę.

Trzęsienie ziemi! Cóż było robić. Ojciec i matka wzięli młodszych mych braci za ręce i uciekliśmy z mieszkania na ulicę. Tam były już tłumy. Wszyscy bladzi, zdenerwowani. Cały szereg domów już leżał w gruzach.

Nagle rozległ się okrzyk: Ogień! Rzeczywiście w kilku miejscach ukazały się płomienie i obłok dymu. Ojciec powiedział:

— Musimy uciekać stąd.

Wiatru jeszcze nie było.



Wizja dantejskich piekieł: Żałobne posiedzenie parlamentu japońskiego, na którem uczczono pamięć poległych w trzęsieniu ziemi i uchwalono kredyty na odbudowę. W głębi sali stoi próżny tron mikada Mutsuhito chorego umysłowo, w którego imieniu rządzi syn regent

Po krótkiej naradzie ojciec zdecydował, że schronimy się na teren Hifukusho (plac składnicy wojskowej). Był to plac pusty, na którym ogień nie powinien był nam grozić. Zabraliśmy trochę ocalałych rzeczy z mieszkania, ubrania i materace i udaliśmy się na Hifukusho. Było to niedaleko od nas. Na plac wielkości 50 hektarów zaledwie, prowadziła dość wąska brama, strzeżona przez policjanta. Tłum już cały zgromadzony przed nią rozpychał się i gniótł, aby jaknajprędzej dostać sie do środka. Wiele kobiet niosło dzieci na plecach, mężczyźni ciągnęli wózki z resztą ocalałego dobytku.



Wizja dantejskich piekieł: Kurhan ze spalonych kości i popiołów 33.000 ludzi spalonych w pożarze Hifukusho.

Nakoniec dostaliśmy się na ten plac, który zapełniał się coraz bardziej i bardziej. Coraz nowe tysiące napływały, ponieważ pożar rozszerzał się coraz bardziej. Ci, którzy dostali się na plac, cieszyli się, myśląc, że znaleźli bezpieczne schronienie.

Lecz tłumy rosły coraz bardziej. O godzinie drugiej nie można już było przecisnąć się przez tłok. Przed trzecią byliśmy wszyscy ściśnięci jak śledzie w beczce. A tymczasem pożar rozszerzał się nieubłaganie. O godzinie czwartej otaczał nas ze wszystkich niemal stron, tylko od strony rzeki Sumida była przerwa w tym ognistym pierścieniu.

Powietrze rozpalone paliło płuca i gardło i nie pozwalało oddychać. Gorąco stawało się niedowytrzymania.

I wtedy przyszła chwila najstraszniejsza.

Tsuwaudzi — haze! - Latające pochodnie!

Zerwał się od strony pożaru wicher, który porywał płonące szczapy i głownie i niósł je, jak skrzydlate pochodnie na nasz stłoczony kilkudziesięciotysięczny tłum. Wówczas... Ach wówczas zaczęło się dziać coś straszliwego. Panika straszliwa. Panika nieopisana. Od tych latających płomieni zapalały się rzeczy, odzież nawet włosy kobiet. Ludzie dokoła stawali się żywemi pochodniami. Uciekać! — Lecz dokąd? W tym wijącym się konwulsyjnie tłoku, gdzie jedni deptali po drugich, gdzie jedni kładli się na drugich byle się tylko uchronić przed polatującym, niszczącym wszystko płomieniem, w jęku, krzyku szaleńczym i płaczu, przedewszystkiem w rozdzierającym płaczu dzieci. Straciłem z oczu rodziców i braci. Chciałem uciekać. Lecz jedyne wyjście zapchane było i zatarasowane zupełnie przez napół oszalały tłum. A zresztą i za niem rozpościerało się morze ognia. Zwróciłem się ku rzece Sumida. Jak się do niej dostałem — dziś już nie wiem. Wiem. że deptałem po jakich głowach bezwładnych i ciałach. wiem, że palił mnie ogień i rozpalone niemal do czerwoności druty ogrodzenia, przez które się jakoś przedarłem. Zatykając usta dłonią i dusząc się, padając i dźwigając się co chwila, przedostałem się przez spaloną uliczkę i rzuciłem się w wodę. Woda ta była gorąca. jak w gorącej kąpieli. Widziałem dokoła ludzi zanurzających głowy w wodzie. Moja głowa pękała z bólu. Zanurzyłem ją w wodzie i piłem, piłem bez końca.

Z tego piekła zaś, z którego się wyrwałem dochodził tylko szum straszny i jęk. Z tej gęstwy skłębionej ludzi strzelały coraz gęściej płomienie i polatywały nad nią płonące głownie i płachty

Straciłem przytomność.

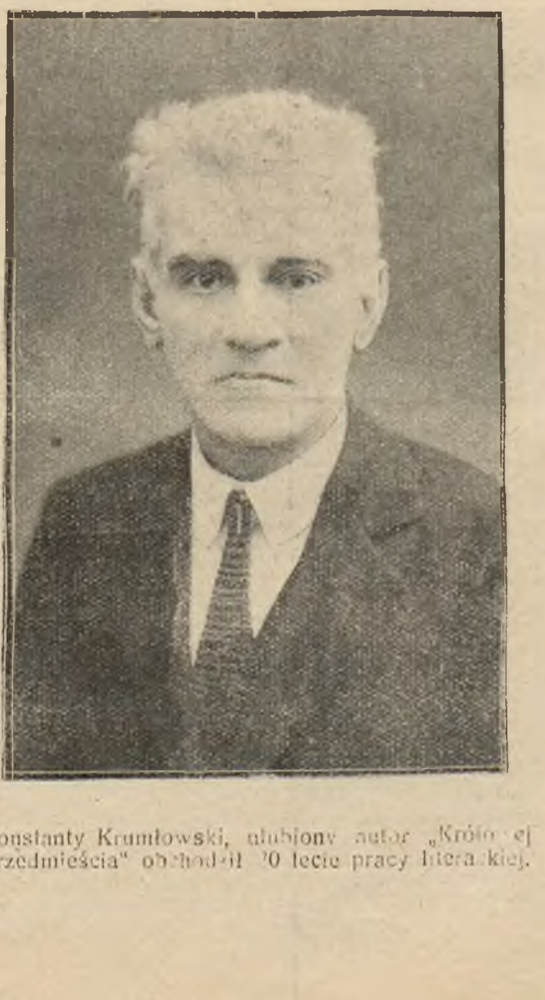
* * *

Jak obliczają władze japońskie na piac Hifukusho schroniło się przed pożarem około 35.000 osób, wyrwało się zaś z tego piekła zaledwie tysiąc.

Zgórą 33-tysięczny tłum spalił się żywcem.

30-to lecie Konstantego Krumłowskiego.

„Królowa Przedmieścia", która zresztą nietylko przedmieść ale i całego wielkiego Krakowa ulubienicą była i jest aż do dzisiaj, dosięgła 300-nego swego przedstawienia. A jednocześnie ojciec jej rodzony, czyli — zwykłym mówiąc językiem — autor tego najpopularniejszego i najlepszego z naszych wodewilów p. Kostanty Krumłowski święcił 30-lecie swej pracy literackiej. Praca to niewdzięczna i goryczą pojona, jak zwykle praca każdego polskiego humorysty — dała jednak Krumłowskiemu szeroką popularność i uznanie tych warstw najszerszych Krakowa — których jest do dziś ulubieńcem. „Nowości Ill.", których współpracownikiem był oddawna i niejednokrotnie jubilat zasyłają mu z okazji Jego obchodu serdeczne życzenia.



Konstanty Krumłowski, ulubiony autor „Królowej Przedmieścia" obchodził 30 lecie pracy literackiej.





Polska w zimie: Sekcja policji państwowej pełniąca na nartach służbę graniczną na odcinku śnieżystych Tatr

Zdjęcie „Centraj Europen Press Syndicate.

„Polska w zimie“.

Nad granicą naszą tatrzańską, idącą graniami i przełęczami górskiemi, niełatwo jest utrzymać straż. Szczególniej porą zimową, gdy tylko ptak i,. narciarz mogą pełnić służbę wedety nad górskimi szlakami. To też oddziały straży granicznej naszej policji państwowej mające powierzony sobie odcinek górski przypinają sobie porą zimową — nie skrzydła do ramion na wzór ptaków, lecz uskrzydlające przecież narty do stóp i w tym sportowym stroju pełnią swą służbę.

Dla wyćwiczenia zaś żołnierzy swych urządzają świczenia i mustry na tle uroczych krajobrazów tatrzańskich, na płaszczyznach śnieżystych i na zboczach górskich.

Ćwiczenia te podpatrzył i uchwycił w aparat kinematograficzny dyrektor znanego już Czytelnikom naszym z wielu zamieszczonych w „Nowościach“ zdjęć — instytutu: Central European Press Syndicate, który oddaje krajowi znaczną usługę w zakresie propagandy śląc do kinoteatrów zagranicznych i zamorskich specjalne malownicze filmy obrazujące Polskę.

Z ćwiczeń naszej straży granicznej na śnieżystych zboczach tatrzańskich uczynił on fragment nowego obrazu swego p. t. „Polska w zimie“, który przeznaczony dla zagranicy wkrótce zaznajamiać zacznie cudzoziemców z urokiem Tatrów polskich — a z którego 3 obrazy p. Strzelecki uprzejmie użyczył nam do reprodukcji w „Nowościach“.

Wystawa gołębi pocztowych.

W obecnym systemie prowadzenia wojny dowództwa grup nie zaniedbują nawet najbardziej małoznaczących okoliczności, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Nowoczesny dowódca największy jednak kładzie nacisk na utrzymaniu jaknajściślejszej łączności z innymi oddziałami, gdyż bez tego operacje



Polska w zimie: Obrazy z tatrzańskich granic Rzeczpospolitej. Fragment z obrazu propagandowego „Polska w zimie“ przedstawiający dyrektora C. E. P. S. na ćwiczeniach narciarskich P. P. nad granicą w otoczeniu oficerów policji

wojenne byłyby prowadzone na oślep i nie miałyby cech jednolitości, która decyduje o pomyślnym wyniku akcji. Wśród rozmaitych sposobów prowadzenia służby łączności, wyróżnia się przez swą praktyczność, pewność i stosunkowo niewielkie koszta. służba gołębi pocztowych, które niejednokrotnie już przyczyniły się do sukcesów naszej armii.

Należy też z uznaniem powitać akcję, mającą na celu postawienie w Polsce hodowli gołębi pocztowych na poziomie nowoczesnym. W niedzielę dnia 21 lutego w domu Żołnierza Polskiego przy ul. Mogilskiej odbyło się otwarcie wystawy gołębi pocztowych i rasowych. Komitet wystawy pod przewodnictwem prof. U. J. Marchlewskiego użył do zaaranżowania wystawy panów Malinowskiego oraz kapitana Bernackiego, którzy całą swą energię wytężyli w kierunku rzeczywiście wspaniałego urządzenia wystawy.

Przy otwarciu obecni między innymi byli: P. wojewoda Kowalikowski, prezydent miasta Federowicz, generałowie Górecki i Dziewanowski, oraz zebrani w komplecie przedstawiciele wojskowości, władz i szerokich sfer hodowców gołębi. Wystawa obejmowała pokaźną liczbę, bo aż 410 klatek, artystycznie ustawionych w wielkiej hali, przystrojonej kwiatami i zielenią. Z pośród gołębi zwycięzcą okazał się okaz p. Pieczki, który odbył największą drogę, długości 500 km. (Wilno-Katowice). Miłą atrakcją wystawy było kilkanaście klatek kanarków, które swoim śpiewem napełniały całą halę.

Napływ publiczności był olbrzymi, co dowodzi wielkiego zainteresowania społeczeństwa hodowlą gołębi.

Sprostowanie.

W „Odezwie Komitetu Organizacyjnego Banku Polskiego wydrukowanej w N. 8 „Nowości Ilustrowanych“ z dnia 23. II. w punkcie czwartym warunków zapisów na akcje Banku Polskiego w zdaniu „Od wypłat, dokonywanych w czekach i wpłatach na Nowy York począwszy od 20.000 dolarów Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa będzie bonifikowała odsetki 3% rocznie za czas od dnia wpływu dewiz do dnia przejęcia P. K. K. P. przez Bank Polski“, mylnie wydrukowano... „począwszy od 200.000“... co niniejszem prostujemy.





Wystawa gołębi pocztowych w Krakowie: Dwie grupy z otwarcia wystawy. Na pierwszej przedstawiciele Władz i nauki z wojewodą Kowalikowskim gen. Góreckim prof. Marchlewskim, oraz dr. Röhrenschefem wpośrodku. Na drugiej — prof. U. J. Marchlewski w gronie hodowców gołębi.

MASZYNY
do pisania i do rachowania

przyjmuje do gruntownej naprawy i czyszczenia, pierwszy w Małopolsce zakład mechaniczny

WŁODZ. KEYHA, mechanik

Kraków, ul. Frorjańska L. 3.

FIRANKI, PORTJERY i KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35

REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO przez Dra Z. Mandla adwokata w Krakowie omawia problem rozwodu, seperacji, ślubów cywilnych i t. d z uwzględnieniem ustawodawstwa trójdzielnic.

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:

Helena Smolarska

Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.

KAPELUSZE damskie

o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje „ANTONINA“ pracownia kapeluszy damskich

Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.

- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza l. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecęcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze

---

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)

otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Materyały wełniane!

na suknie i kostyumy damskie

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.

Markizety, batysty, woale, perkale zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych

poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Kostjumy, płaszcze, suknie, spódnice i bluzy

po cenach konkurencyjnych

poleca w wielkim wyborze według najnowszych modeli

Magazyn konfekcji damskiej

Gertrudy 27, I. piętro

Przyjmuje się również zamówienia z powierzonych ma- :-: terjałów, wykonując takowe szybko i skrupulatnie. :-:

Dla P. T. urzędniczek znaczny opust!

WAŻNE DLA PANÓW!

Pierwszorzędny zakład krawiecki pod firmą:

MARCIN CZAJA

Kraków, Mikołajska 11

poleca się na sezon wiosenny Szanownej P. T klienteli jako też i szerszej P. T. publiczności — wykonanie artystyczne, ceny przystępne.

„Kuryer Stanisławowski“

Pismo kresowe, wychodzi co tygodnia w Stanisławowie, przynosząc najaktualniejsze wiadomości z życia Polonii kresowej, jakoteż obszerny dział ogłoszeń handlowych.

REKLAMA

rozwija handel i przemysł

DOBREGO AKWIZYTORA obznajmionego ze zbieraniem ogłoszeń poszukuje administracja Nowości Illustrowauych. — Zgłoszenia osobiste, wyłącznie poważnych reflektantow w administacji ul. Kazimierza Wielkiego 95 codziennie od 10-tej do 18-tej.

POSZUKUJE POKOJU młody, solidny człowiek na dogodnych warunkach może być z utrzymaniem. Zgłoszenia w Ad. „N. Illustr.“ pod W. W.

POSZUKUJE SIĘ POŻYCZKI w walucie zagranicznej, dla b. dobrze prosperującego przedsiębiorstwa przem.-handlowego na b. dobrych warunkach. Wiadomość w Ad. „N. Illustr.“ pod „Z. G.“



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

AKCJI

Pomorskiej Fabryki Kapeluszy

obecnie uruchomionej w większej ilości po cenie

2000000 mk.

za

1000 mk. sztukę

do oddania.

Szan. reflektanci zechcą nadesłać oferty do redakcji „Głosu Wąbrzeskiego“ — w Wąbrzeźnie (Pomorze) Litr. W 105.

RUTYNISTA buchalter i korespondent, były szef oddziału taryfowego w wielkim przedsiębiorstwie spedycyjnem, z praktyką bankową, organizator energiczny i przedsiębiorczy, poszukuje posady poza Krakowem. — Łaskawe zgłoszenia z podaniem warunków do Admin. „Nowości Illustr.“ Kraków, ul. Kazimierza Wielk. L. 95. pod „Tebe“.

POSZUKUJE SIĘ POKOJU umeblowanego z całodziennym utrzymaniem dla dwu osób, najchętniej w okolicy parku Krakowskiego lub Nowej Wsi. Zgłoszenia pod „Redaktor“ w administracji „Nowości Illustrowanych“ ulica Kazimierza Wielkiego 95.

WERKMISTRZA INTRILIGATORA do fabryki ksiąg handlowych dla Lwowa poszukujemy. — Dla sumiennego, trzeźwego, doświaoczonego czł. dobra stała posada. Nieżonaci i z zagraniczną praktyką mają pierwszeństwo, ale nie warunek. Oferty, odpisy świadectw pod „Sumienny“, do biura gazet Buchstaba Lwów Legjonów liczba 21.

POSZUKUJE SIĘ POKOJU UMEBLOWANEGO bez utrzymania, może być wspólne wejście. Łaskawe zgłoszenia do adm. „Nowości Illustrowanych pod T. B.

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry

fabryk angielskich i francuskich

Poleca:

Polska Centrala Handl. Nićmi **S. WEGENKO i Ska**

Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici

Warszawa, Krucza 24. Tel. 137-17 i 266-14.

Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red. Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina)